

TRAFOSTACJA

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

TRAFOSTACJA



**Wydawnictwo Dwie Siostry
Warszawa 2025**

Zanim świat był, jam jest.

Philip K. Dick, *Ubik*

A N O M A L I A



Łąka nad rzeką była rozpalona. Ludzie, którzy chodzili tędy, żeby skrócić sobie drogę z pętli 126 na osiedle, zdejmowali kurtki, chowali je do plecaków i wyciągali plastikowe butelki z napojami. Szymon przyglądał im się z ławki przy blokach, kiedy mijali go spoceni: szukał w spojrzeniach śladu paniki. Przecież różnica temperatur między łąką a blokowiskiem musiała wzbudzać niepokój. Ale widział tylko lekką irytację, jakby właśnie wyszli z przegrzanego tramwaju, jakby potrzebowali jednego kubka kawy więcej niż zwykle, jednego piwa więcej.

A przecież nawet z daleka wyglądało to podejrzanie. Wzdłuż rzeki ludzie szli z trudem, jak gdyby nieśli coś ciężkiego. Wydawało mu się, że się garbią.

Chłopak nie rozumiał tej obojętności, przygębiała go.

Kiedys patrzył, jak sobie radzą wędkarze, którzy przychodzili nad rzekę po łatwą zdobycz, bo w tej temperaturze osowiały ryby łykały haczyki posłusznie, jakby to był najlepszy pęczak. Przystanął

na widok czterech plastikowych wiader, które iskrzyły się srebrno, pełne uduszonych powietrzem ryb. Ale pogoda była wakacyjna, więc panowie postanowili spędzić nad rzeką resztę popołudnia. Rozpalili grilla, od zielonych butelek odskoczyły kapsle. Starszy wyjął z torby zawiniątko z kilkoma ząbkami czosnku i natką pietruszki.

Szymon przyglądał się, jak mężczyzna sięga po nóż i zaczyna delikatnie rozcinać od spodu wyciągniętą z wiadra rybę. I kiedy skóra ustąpiła pod naporem ostrza, z wnętrza ryby wyfrunęły pszczoły. Wysypały się jak iskry spod pękniętej szyny, którą spawacz szlifuje po zalaniu spoiwem.

Mały, zwarty rój krążył przez chwilę nad rybą, którą łysawy król wędkę upuścił na trawę – a potem zawisł w powietrzu nad głową mężczyzny, niczym ruchoma złota aureola.



I N S T Y T U T



I wtedy Władek poczuł, że jakiś przedmiot przeleciał mu tuż koło ucha. Skulił się i zamarł na wypadek, gdyby zza ogrodzenia wyrzucono coś jeszcze. Ale poza głuchym uderzeniem czegoś ciężkiego o ziemię kilka metrów dalej nie usłyszał już nic. Zrobił parę kroków w stronę rzeki. W świetle księżyca coś zamigotało w trawie. Już miał się po to schylić, kiedy kątem oka dostrzegł, że na podjeździe Instytutu ktoś kogoś szarpie.

Władek wiedział, że mało kto chodzi teraz tym skrótem. Polskie i ukraińskie rodziny z okolicznych osiedli od pewnego czasu wybierały na grilla zdziczałe trawniki po drugiej stronie parku, ale ścieżki prowadzące z pętli autobusowej w dół, przez niczyją łąkę aż do głęboko wyciętego koryta rzeki, nigdy całkiem nie zarosły. Nawet psy z bloków przyprowadzały tu właścicieli rzadziej niż kiedyś. Po pojawiających się gdzieś tam kretowiskach widać było, że ziemia przy rzece ma dziwny, brudnawy kolor, a kiedy przyłożyło się do niej rękę, wydawała się ciepła. Ludzie twierdzili,

że w dotyku przypomina skórę. Niektórzy opowiadali o sieci podziemnych rurociągów.

Władek patrzył z ciemności w stronę dość przeciętnego budynku, który stanął tu kilka lat temu. Trwała pod nim jakaś szamotani-
na. Pochylił się i ostrożnie podszedł do ogrodzenia. Na podjeździe zobaczył trzech mężczyzn. Jeden z nich, ten najwyższy, wyglądał jak ruchoma metalowa rzeźba.

– Doktorze, przepraszam, ale czy to na pewno konieczne?

– Czy to k o n i e c z n e? – odparła rzeźba zniecierpliwiona. – Chciał zniszczyć prototyp! Zamknijcie bramę!

– Proszę! Przecież ja też kocham ją jak córkę – wyszeptał ktoś trzeci.

Władek przechylił się tak, żeby zobaczyć dwóch pozostałych mężczyzn. Jeden stał z opuszczonymi rękami i w skupieniu wpa-
trywał się w tego wysokiego. Drugi leżał na podjeździe ze związa-
nymi z tyłu rękami. Nawet z tych kilkunastu metrów widać było, że drży. Po chwili usiadł bezradnie na asfalcie i się rozpłakał. Wy-
soki mężczyzna stanął przed nim z uniesioną brodą i powiedział:

– Pracowałem nad nią przez kilka lat. Myślisz, że teraz, kiedy jest już prawie gotowa, zaryzykuję choćby śrubkę z jej szczęki? – Mówiąc to, człowiek rzeźba spojrzał w stronę bramy i Władek zobaczył jego twarz.

Miał wrażenie, że ich spojrzenia się spotkały.

W ciągu następnych kilku minut Władowi przypomniało się wszystko, co ludzie mówili o okolicach Instytutu. Że przy rzece park zrobił się nieprzyjemnie gęsty. Że przez cały dzień panuje

w nim półmrok, bo tyle tam drzew z wielkimi, zdziczałymi liśćmi. Że ci, którzy wracają tamtędy do domu, stają się jakby ciemniejsi i wyglądają, jakby patrzyło się na nich przez okopconą szybę. Że dzieci, które chodzą tą drogą do szkoły, zwykle spóźniają się na lekcje.

W zeszłym roku znaleziono tam dwa ciała. Dziewczyny, które dość dobrze znano w mieście, bo prowadziły bloga ze szkolnymi plotkami, nie były specjalnie lubiane. Leżały na wznak w wysychającej sadzawce w zachodniej części parku. Opowiadano, że na pewno zamordował je zrozpaczony nauczyciel, którego romans z uczennicą szczegółowo opisały tamtego lata. Zwłoki znalazł Rudy i przez następne pół roku był najpopularniejszym chłopakiem w szkole. Tyle razy opowiadał, w jaki sposób się na nie natknął, że nawet jemu myliły się szczegóły. Raz kompletnie niezmienione ofiary wpatrywały się lodowato w księżyc. Innym razem trzymały się za ręce, „jakby próbowały dodać sobie otuchy”. Na portalu miejskim ukazał się artykuł, w którym śledczy i technik mówili, że ze znalezionych przy dziewczynach telefonów nie udało się odzyskać żadnych danych.

Przez kolejne miesiące w parku nie działo się nic nadzwyczajnego. W końcu znów zaczęli tamtędy jeździć rowerzyści, a na skraju wschodniej części stanął wózek z lodami. Ale nadal było tam ciszej niż gdzie indziej i niechętnie chodzono nad rzekę.

Instytut wyznaczał symboliczną granicę między miastem a wielkim nieużytkiem ciągnącym się aż po tory kolejowe. Połowa budynku była ukryta wśród drzew. Otaczające go wysokie ogrodzenie z niemal czarnej stali przez kilkaset metrów biegło równoległe do dawnego koryta rzeki. Za dnia można było pomyśleć, że

budynek jest opuszczony. Tak cicho było wokół, tak rzadko ktoś wychodził na zewnątrz. Nocami pojawiały się białe ciężarówki i samochody dostawcze, które codziennie coś przywoziły i wywoziły. Kiedy otwierano bramę, na nieużytki wylewała się kilkumetrowa szeroka smuga czerwonego światła.

Władek wciąż stał bez ruchu, chociaż czerwone światło zgasło dobrych kilka minut temu, płaczącego mężczyznę zawleczono do środka i na podjeździe Instytutu już nikogo nie było. Poczuł chłód ciągnący od rzeki i bardzo zapragnął znaleźć się w domu, z żoną rozwiązującą krzyżówki przy włączonym radiu w kuchni. Ale zanim wszedł na biegnącą po nasypie wzdłuż brzegu ścieżkę prowadzącą w stronę blokowiska, odnalazł w trawie nad dawnym korytem rzeki to coś, co wyrzucono przez ogrodzenie. Przedmiot kształtem przypominał kość. Nie, nie ludzką. Raczej kość świni, a dokładniej fragment świńskiej szczęki. Tyle że był srebrny, a przynajmniej w kolorze srebra. „Tak czy owak – pomyślał Władek – to na pewno sporo warte”. Ostrożnie wsunął przedmiot do plecaka i cicho ruszył w kierunku domu, strzepując z ramienia zagubioną w ciemności pszczołę, której wieczorna aktywność w innych okolicznościach bardzo by go zdziwiła.

Tymczasem za zamkniętą bramą Instytutu dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach wyszło na podjazd z plastikowym wiadrem i dwoma mopami, żeby zmyć krew z asfaltu.

Z N A L E Z I S K O



- Jestem! – zawołał, domykając za sobą drzwi.
- No nareszcie, dwa razy już podgrzewałam.
- Przepraszam, Basiu, coś mnie...
- Wszystko w porządku? Dziwny jesteś.

Zamiast się tłumaczyć, wyjął z plecaka srebrny przedmiot i położył go na obrusie. Spojrzał na żonę, jakby prezentował jej złowionego szczupaka, podpity po całym dniu nad jeziorem, albo jakby przyniósł zwycięską zdrapkę z marketowej loterii, na którą marnował co miesiąc stówkę z kusej emerytury.

- Co to jest? – spytała chłodno, biorąc znaleźzisko męża do ręki.
- Znalezione, nie kradzione! – próbował jeszcze zażartować, ale już wiedział, że aplauzu nie będzie.

Niektóre przedmioty wywołują w nas szczególny rodzaj zadowolenia. Jak ciężka mosiężna klamka w muzeum. Albo piłeczka pingpongowa znaleziona w kieszeni marynarki. Ale są też takie, które wprowadzają chaos, i chcemy się ich szybko pozbyć. Klatka po

kanarkach. Proteza. Moneta z wytartym rewersem. Przedmiot, który trzymała, był jednocześnie piękny i odrażający. Wyglądał trochę jak kość. Był gładki i dziwnie lekki, o wiele lżejszy niż sugerowałaby jego gęstość. Od spodu wymacała coś szorstkiego, jakby zadrapanie. Odwróciła znalezisko i ujrzała mały geometryczny symbol.

– Natychmiast to wyrzucić – powiedziała przez zęby. Ściszyła głos, zbladła.

Tłuste krople zupy jarzynowej z sykiem pryskały z garnka.

Posłusznie ruszył w stronę kubła.

– Nie tu. Odniesz to tam, gdzie znalazłeś.

Zaczął ponownie zapinać kurtkę, kiedy od strony korytarza usłyszał głośny dźwięk – jakby coś dużego i metalowego ocierało się o ściany klatki schodowej. Rozejrzał się, a potem szybko schylił, otworzył szafkę pod zlewem, wyjął kubek na śmieci, sięgnął w głąb i wymacał zakrytą ułamanym kaflem dziurę w ścianie. Jak zwykle stała tam do połowy wypita flaszką ciepłej wódki na czarną godzinę. Pośpiesznie ją wyjął, włożył w zamian srebrną kość, z powrotem zakrył dziurę kaflem, wstawił kubek na miejsce i zamknął drzwiczki.

Usłyszał tępy brzęk uderzonej czymś poręczą, głośne szuranie i przeciągły zgrzyt, jakby ktoś rzeźbił pogrzebaczem rowek w ścianie. Stłumione pacnięcia tynku o podłogę. A potem już tylko trzask rozpadających się drzwi i przeraźliwy krzyk żony.

© Copyright for the text by Agnieszka Wolny-Hamkała, 2025
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2025

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

ISBN 978-83-8150-774-5
wydanie I

w y d a w n i c t w o d w i e s i o s t r y . p l

logo Instytutu: Oskar Dawicki
projekt okładki: Paweł Smardzewski

redaktorzy prowadzący: Maciej Byliniak i Karolina Iwaszkiewicz
redakcja: Karolina Iwaszkiewicz
korekta: Małgorzata Kuśnierz
opracowanie wersji elektronicznej: Mobisfera

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.
ul. Stefana Jaracza 2
00-378 Warszawa

Ta książka jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw, jakie im przysługują.
Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym.
Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści
i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje
zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem handlowym
(marketing@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).